

Historia roku

Było to pod koniec stycznia; szalała straszna zamieć; śnieżne wiry nosiły się po ulicach i zaułkach; ślepiął okna domów, spadał z dachów bryłami, a wiatr tak właśnie poganiał przechodniów. Biegli, lecieli na łeb, na szyję, dopóki nie wpadali sobie nawzajem w objęcia i nie zatrzymywali się na chwilę, mocno trzymając się jeden drugiego. Powozy i konie były jakby oprószone pudrem; lokaje stali na stopniach tyłem do powozów i do wiatru, a piesi starali się trzymać za wiatrem pod osłoną karet, ledwo włączając się po głębokim śniegu. Gdy zaś w końcu zamieć ucichła i wzdłuż domów przetarto wąziutkie ścieżki, przechodnie nieustannie zderzali się i zatrzymywali naprzeciw siebie w wyczekujących pozach: nikomu nie chciało się pierwszemu zrobić kroku w śnieżny zasp, ustępując drogi drugiemu. Lecz oto, jakby na milczące porozumienie, każdy poświęcał jedną nogę, opuszczając ją w śnieg.

Ku wieczorowi pogoda zupełnie się uspokoiła; niebo stało się tak jasne, czyste, jakby je wymieciono, i zdawało się nawet jakoś wyższe i bardziej przejrzyste, a gwiazdeczki, jakby na nowo wyczyszczone, lśniły i iskrzyły się błękitnymi ognikami. Mróz aż trzeszczał, a ku rankowi górna warstwa śniegu tak stwardniała, że wróble skakały po niej, nie zapadając się. Śmigały z zasy do zasy, skakały ku przetartym ścieżkom, lecz ani tu, ani tam nie znajdowało się nic jadalnego. Wróbelki порядком zmarzły.

— Pip! — mówiły między sobą. — I to jest Nowy Rok! Jest gorszy niż stary! Nie warto było zmieniać! Nie, jesteśmy niezadowoleni i nie bez przyczyny!

— A ludzie, ach ci ludzie, ile hałasu narobili, witając Nowy Rok! — powiedział mały, zmarznięty wróbelek. — I strzelali, i gliniane garnki rozbijali o drzwi, słowem, nie panowali nad sobą z radości — i wszystko dlatego, że staremu rokowi przyszedł koniec! Ja też się było ucieszył, myślałem, że oto teraz nastanie ciepło; gdzie tam! Mrozi jeszcze mocniej niż przedtem! Ludzie widocznie zgłupieli i pomylili pory roku!

— Istotnie! — podchwycił trzeci — stary wróbel z siwym czubkiem. — Oni mają bowiem taką rzecz — własnego ich wynalazku — kalendarz, jak to nazywają, i wyobrażają sobie, że wszystko na świecie musi iść według tego kalendarza! Gdzie tam! Oto przyjdzie wiosna, wtedy dopiero nastąpi Nowy Rok, а никак wcześniej, tak już raz na zawsze ustanowiono w naturze i ja trzymam się tego rachunku czasu.

— A kiedyż przyjdzie wiosna? — spytały inne wróble.

— Przyjdzie, gdy przyleci pierwszy bocian. Lecz on nie jest szczególnie punktualny i trudno obliczyć z góry, kiedy dokładnie przyleci! Впрочем, jeśli już w ogóle dowiadywać się o tym, to nie tutaj, w mieście — tu nikt niczego porządnie nie wie — lecz na wsi! Polećmyż tam czekać na wiosnę! Tam ona przecież prędzej nadejdzie!

— Wszystko to pięknie! — powiedziała wróblówka, która od dawna kręciła się tutaj i ćwierkała, lecz nie brała udziału w rozmowie. — Tylko jedno: tutaj, w mieście, przywykłam do pewnych wygod, a czy znajdę je na wsi — nie wiem! Jest tu jedna ludzka rodzina; przyszła jej rozumna myśl — przybić do ściany trzy-cztery puste donice po kwiatach. Górnym brzegiem ściśle przylegają do ściany, dno zaś zwrócone jest na zewnątrz i znajduje się w nim mały otwór, przez który swobodnie wlatuję i wylatuję. Tam właśnie my z mężem urządziliśmy sobie gniazdo, stamtąd wyleciały i wszystkie nasze pisklęta. Rzecz oczywista, ludzie urządzili to wszystko dla własnej przyjemności, by napatrzyć się na nas; inaczej nawet palcem by nie ruszyli! Rzucają nam okruszki chleba — również dla własnej przyjemności — no, a nam przecież to pożywienie! W ten sposób jesteśmy tutaj do pewnego stopnia zabezpieczeni i myślę, że my z mężem zostaniemy tutaj! My też jesteśmy bardzo niezadowoleni, ale jednak zostaniemy.

— A my polecimy na wieś — popatrzeć, czy nie idzie wiosna! — powiedziały inne i odleciały.

Na wsi panowała prawdziwa zima i było, być może, jeszcze zimniej niż w mieście. Ostry wiatr nosił się nad śnieżnymi polami. Chłop w wielkich, ciepłych rękawicach jechał na saniach, klaszcząc rękoma, by wytrząść z nich mróz, bat leżał mu na kolanach, lecz wychudzone konie biegły kłusem; para tak właśnie waliła od nich. Śnieg skrzypiał pod płozami, a wróble skakały po koleinach sanowych i marzły.

— Pip! Kiedyż przyjdzie wiosna? Zima ciągnie się coś zbyt długo!

— Zbyt długo! — rozległo się z wysokiego wzgórza, занесенного снегом, i echem przetoczyło się po polach. Może to było tylko echo, a może i głos dziwnego starca, siedzącego na wzgórzu na kupie siana. Starzec był biały jak gołąb — z białymi włosami i brodą, i ubrany w coś w rodzaju białego chłopskiego kożucha. Na bladej twarzy jego tak właśnie płonęły duże, jasne oczy.

— Co to za starzec? — spytały wróble.

— Znam go! — powiedział stary kruk, siedzący na płocie. Z pobłażliwą świadomością, że „wszyscy jesteśmy drobnymi ptaszkami wobec twórcy”, łaskawie podjął się wyjaśnić wróblom ich wątpliwości.

— Wiem, kim on jest. To Zima, stary, zeszłoroczny władca. Wcale jeszcze nie umarł, jak głosi kalendarz, i mianowany regentem do pojawienia się młodego księcia, Wiosny. Tak, Zima jeszcze panuje nad naszym królestwem! U! Co, przemarzliście chyba, maluchy?

— No, czyż nie mówiłem — powiedział najmniejszy wróbelek — że kalendarz to pusty ludzki wymysł! Wcale nie jest dostosowany do natury. Czyż ludzie mają jakieś wycucie? Lepiej by powierzyli rozdzielanie pór roku nam — my jesteśmy subtelniejsi, bardziej czuli od nich stworzeni!

Minął tydzień, drugi. Las już почернел, lód na jeziorze zaczął przypominać zastygłe ołów, chmury... nie, jakie tam chmury?! Ciągła mgła okrywała całą ziemię. Duże, czarne kruki latały stadami, lecz milcząco; wszystko w naturze jakby pogrążyło się w ciężkim śnie. Lecz oto po jeziorze śliznął promień słoneczny i lód заблестiał jak roztopione cyna. Śnieżna pokrywa na polach i na wzgórzach już utraciła swój blask, lecz biała figura starca Zimy siedziała jeszcze na dawnym miejscu, utkwivszy wzrok w południu. Nie zauważał nawet, że śnieżna zasłona coraz bardziej wnikała w ziemię, że tu i ówdzie przebiły się kawałki zielonej darni, na których tłoczyły się kupy wróbli.

— Kwi-wit! Kwi-wit! Czyżby już wiosna?

— Wiosna! — przetoczyło się echem nad polami i łąkami, przebiegło po ciemnobrązowych lasach, gdzie pnie starych drzew odziały się już świeżym, zielonym mchem. I oto z południa pojawiła się pierwsza para bocianów. Na plecach każdego siedziało po przepięknym dziecku: u jednego — chłopiec, u drugiej — dziewczynka. Stąpając po ziemi, dzieci pocałowały ją i poszły ręką w rękę, a ich śladami zakwitły prosto na śniegu białe kwiatki. Dzieci podeszły do starca Zimy i przytuliły się do jego piersi. W tej samej chwili wszyscy troje, a z nimi i cała okolica, zniknęli w obłoku gęstej, wilgotnej mgły. Nieco później zawiał wiatr i пазом rozegnał mgłę; zabłysło słońko — Zima zniknęła, a na tronie natury zasiadły przepiękne dzieci Wiosny.

— Oto to jest Nowy Rok! — powiedziały wróble. — Teraz, należy sądzić, zostaniemy nagrodzeni za wszystkie zimowe niedole!

Gdziekolwiek obracały się dzieci — wszędzie krzewy i drzewa pokrywały się zielonymi pączkami, trawa rosła coraz wyżej i wyżej, zboża zieleniały żywiej. Dziewczynka tak właśnie sypała na ziemię kwiatami; miała w fartuchu tyle kwiatów, że choćby się jak spieszyła rozsypywać je, fartuch wciąż był pełniuteńki. W porywie figlarności dziewczynka ochlapała jabłonie i brzoskwiniowe drzewa prawdziwym deszczem kwiatów i drzewka stały w pełnym kwiecie, nawet nie zdążywszy jeszcze porządnie odziać się w zieleń.

Dziewczynka zaczęła klaskać w dłonie, zaczął klaskać i chłopiec, i oto, skąd się wziął, nalatywały, ze śpiewem i щебетом, stada ptaków: „Wiosna przyszła!”

Miło było spojrzeć wokół! To z jednej, to z drugiej chatki wypelzały za próg stare babuszki, by rozgrzać na słońku swoje kości i napatrzyć się na żółte kwiatki, złocące łąki точь-в-точь jak w dniach далекой мłodości старушек. Tak, świat znów odmłodził i mówiły: „Cóż za błogosławiony dzień dzisiaj!”

Lecz las wciąż jeszcze pozostawał brunatno-zielony, na drzewach nie było jeszcze liści, a jedynie pączki; zaro na leśnych polanach pachniał już młody dziki jaśmin, kwitły fiołki i zawilce. Wszystkie źdźbła napiły się żywotnego soku; po ziemi rozpostarł się bujny zielony dywan, a na nim siedziała młoda para, trzymając się za ręce. Dzieci Wiosny śpiewały, uśmiechały się i wciąż rosły i rosły.

Ciepły deszczyk kropił z nieba, lecz one nawet go nie zauważały: krople deszczu mieszały się ze łzami radości

pana młodego i panny młodej. Młoda para pocałowała się i w tej samej chwili las przyodził się w zieleń. Wzeszło słońce – wszystkie drzewa stały w przepysznym, liściastym stroju.

Ramię w ramię ruszyli pan młody i panna młoda pod ten świeży, gęsty baldachim, gdzie zieleń mieniła się tysiącami różnych odcieni dzięki grze światła i cienia. Dziewiczo czyste, delikatne liście roztaczały życiodajny aromat, dźwięcznie i wesoło szumiały strumyki i rzeczki, przedzierając się między aksamitnie zieloną turzycą i pstrokatymi kamyczkami. „Tak było, jest i będzie na wieki wieków!” – mówiła cała przyroda. Słuchaj! Zakukała kukułka, zabrzączała pieśń skowronka! Wiosna była w pełnym rozkwicie; tylko wierzby wciąż nie zdejmowały ze swoich kwiatów puszystych rękawiczek; takie już są ostrożne – aż nudno!

Dni mijały za dniami, tygodnie za tygodniami, ziemię tak i zalewało ciepłem; fale gorącego powietrza przenikały w kłosa zboża i zaczęły one żółknąć. Białe lotos północy rozpostarł po lustrzanej tafli leśnych jezior swoje szerokie, zielone liście, a rybki chowały się w ich cieniu. Po słonecznej stronie lasu, w zawietrzu, przy zalanej słońcem ścianie chłopskiej chaty, gdzie pod palącymi pieśczołami promieni słonecznych bujnie kwitły przepyszne róże i rosły wiśnie, obsypane soczystymi, czarnymi, gorącymi jagodami, siedziała piękna żona Lata, którą widzieliśmy najpierw jako dziewczynkę, a potem jako pannę młodą. Patrzyła na ciemne chmury, piętrzące się jedna na drugiej jak wysokie, czarno-niebieskie, ponure góry; nadciągały z trzech stron i w końcu zawisły nad lasem jak skamieniałe, do góry dnem wywrócone morze. W lesie wszystko ucichło, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki; wiatry przycichły, ptaszki umilkły, cała przyroda zamarła w uroczystym oczekiwaniu, a drogami i ścieżkami pędzili co tchu ludzie w wozach,

konno i pieszo – wszyscy spieszyli schronić się przed burzą. Nagle błysnął oślepiający promień światła, jakby słońce na chwilę przerwało chmury, następnie znów zapanowała ciemność i przetoczył się głuchy grzmot. Woda lunęła z nieba strumieniami. Ciemność i światło, cisza i grzmoty zmieniały się nawzajem. Po młodych trzcinach, z brązowymi kitami na główkach, od wiatru chodziły fala za falą; gałęzie drzew całkiem zniknęły za gęstą siatką deszczu; światło i ciemność, cisza i uderzenia gromu następowały po sobie co minuta. Trawa i kłosa leżały pokotem; zdawało się, że już nigdy nie będą w stanie się podnieść. Ale oto ulewa przeszła w rzadki, wielokroplisty deszcz, wyrzało słońce i na żółtych trawach oraz liściach zabłysnęły wielkie perły; zaśpiewały ptaki, plusnęły w wodzie ryby, zatańczyły komary. Na kamieniu, który wysuwał się tuż przy brzegu spośród słonej morskiej piany, siedziało i grzało się w słońcu Lato, potężny, krzepki, umięśniony mężczyzna. Z jego loków spływały całe strumienie wody i wyglądał na tak odświeżonego, jakby odmłodził po zimnej kąpieli. Odświeżyła się i odmłodziła też cała przyroda, wszystko wokół kwitło z niesłychanym przepychem, siłą i pięknnością! Nadeszło lato, ciepłe, błogosławione lato!

Od gęsto wschodzącej na polu koniczyny unosił się słodki, życiodajny aromat, a pszczoły bzyczały nad miejscem dawnych zgromadzeń. Kamień ofiarny, obmyty deszczem, jasno lśnił w słońcu; cienkie pędy jeżyny odziały go gęstą frędzlą. Przyleciała do niego królowa pszczół ze swoim rojem; złożyły na ołtarzu owoce swojej pracy – воск i miód. Nikt nie widział tego poświęcenia oprócz samego Lata i jego pełnej жизненных сил towarzyski; dla nich właśnie przeznaczone były ofiarne dary przyrody.

Wieczne niebo jaśniało złotem; żadna cerkiewna kopuła nie mogła się z nim równać; od wieczorniej aż do porannej zorzy świecił księżyc. Na dworze panowało lato.

I dni mijały za dniami, tygodnie za tygodniami. Na polach zabłysnęły lśniące kosy i sierpy, gałęzie jabłoni ugiwały się pod ciężarem czerwonych i złotych owoców. Pachnący chmiel wisiał dużymi kiściami. W cieniu leszczyny, obsypanej orzechami siedzącymi w zielonych gniazdkach, odpoczywali mąż z żoną – Lato ze swoją poważną, zadumaną towarzyszką.

– Cóż za przepych! – powiedziała. – Cóż za błogosławieństwo, gdziekolwiek spojrzysz! Jak dobrze, jak przytulnie na ziemi, a jednak – sama nie wiem dlaczego – pragnę... spokoju, odpoczynku... Nie mogę znaleźć innych słów! A ludzie już znów orzą pola! Wiecznie dążą, by zdobyć sobie więcej i więcej!... Oto bociany chodzą po bruzdach za pługiem... To one, egipskie ptaki, przyniosły nas tutaj! Pamiętasz, jak przylecieliśmy tutaj, na północ, jako dzieci?... Przynieśliśmy ze sobą kwiaty, światło słoneczne i zielone liście! A teraz... wiatr prawie wszystkie je oberwał, drzewa

pobrudniały, pociemniały i stały się podobne do drzew południa; tylko nie ma na nich złotych owoców, jakie rosną tam!

- Chcesz zobaczyć złote owoce? - powiedziało Lato. - Podziwiał! - Machnęło ręką - i lasy pokryły się czerwonymi i złotymi liśćmi. Oto było wspaniałość! Na krzakach dzikiej róży zabłysnęły ognistoczerwone owoce, gałęzie bzu pokryły się dużymi, ciemnoczerwonymi jagodami, dojrzałe dzikie kasztany same wypadały z ciemnozielonych gniazd, a w lesie znów zakwitły fiołki.

Lecz królowa roku stawiała się coraz milcząca i bledsza.

- Powiało chłodem! - mówiła. - W nocy wstają wilgotne mgły. Tęsknię za naszą ojczyzną!

I patrzyła za odlatującymi na południe bocianami i wyciągała do nich ręce. Potem zajrzała do ich opustoszałych gniazd; w jednym wyrósł smukły chaber, w innym - żółta rzepa, jakby gniazda tylko po to były uwite, by służyć im za ogrodzenie! Zalatywały tam i wróble.

- Pip! A gdzie się podziali gospodarze? Ot, powiało na nich wiatrem - i już precz! Szczęśliwej drogi!

Liście na drzewach coraz bardziej żółkły i żółkły, zaczął się листопад, zaszumiały jesienne wiatry - nadeszła późna jesień. Królowa roku leżała na ziemi, usianej pożółkłymi liśćmi; jej łagodne spojrzenie było utkwione w lśniących gwiazdach niebieskich; obok niej stał jej mąż. Nagle zerwał się wir i zakręcił suche liście w słup. Gdy wir ucichł - królowej roku już nie było; w zimnym powietrzu kręciła się tylko motyl, ostatni w tym roku.

Ziemię okrywały gęste mgły, zadęły zimne wiatry, przeciągnęły się długie, ciemne noce. Król roku stał z głową ubieloną siwizną; ale sam nie wiedział, że osiwił, - myślał, że jego loki tylko przyprószył śnieg! Zielone pola pokryły się cienką, śnieżną peleryną.

I oto dzwony oznajmiły nadejście wigilii.

- Dzwon bożonarodzeniowy! - powiedział król roku. - Wkrótce narodzi się nowa królewska para, a ja odnajdę spokój, uniosę się za nią na lśniącą gwiazdę!

W świeżym, zielonym sosnowym lesie, занесенном снегом, pojawił się anioł bożonarodzeniowy i oświecił młode drzewka, przeznaczone, by stać się symbolem święta.

- Radość w domostwach ludzi i w zielonym lesie! - powiedział престарелый król roku; w kilka tygodni przemienił się w starca białego jak gołąb. - Zbliża się godzina mojego odpoczynku! Korona i berło przechodzą do młodej pary.

- A jednak władza jeszcze jest w twoich rękach! - powiedział anioł. - Władza, lecz nie spokój! Okryj śnieżnym całunem młode pędy! Znieś cierpliwie uroczyste ogłoszenie nowego władcy, choć władza jeszcze jest w twoich rękach! Cierpliwie znieś zapomnienie, choć jeszcze żyjesz! Godzina twego uspokojenia nadejdzie, gdy nastanie wiosna!

- Kiedyż nastanie wiosna? - zapytała Zima.

- Gdy przylecą z południa bociany!

I oto siwowłosa, siwobroda, oblodzona, stara, zgarbiona, lecz wciąż silna i potężna jak śnieżne burze i zamiecie, siedziała Zima na wysokim wzgórzu, na kupie śniegu, i nie spuszczała oczu z południa, jak zeszłoroczna Zima. Lód trzeszczał, śnieg skrzypiał, łyżwiarze strzałą ślizgali się po lśniącym lodzie jezior, wrony i kruki czerniały na białym tle; nie było ani najmniejszego wiatru. Wśród tej ciszy Zima zacisnęła pięści, i - gruby lód skuł wszystkie cieśniny.

Z miasta znów przyleciały wróble i spytały:

- Cóż to za starzec tam?

Na płocie znów siedział ten sam kruk albo jego syn - wszystko jedno - i odpowiedział im:

- To Zima! Zeszłoroczny władca! On jeszcze nie umarł, jak mówi kalendarz, lecz sprawuje regencję do przyścia młodego księcia - Wiosny!

- Kiedyż przyjdzie Wiosna? - spytały wróble. - Może u nas nastaną lepsze czasy, gdy zmieni się rząd! Stary do niczego nie jest!

A Zima zadumana kiwała głową w stronę nagiego, czarnego lasu, gdzie tak wyraźnie, отчетливо rysował się każdy gałązka, każdy krzaczek. I ziemię okrywały chmury zimnych mgieł; przyroda

pogrążyła się w zimowym śnie. Władca roku śnił o dniach swojej młodości i dojrzałości, a ku porankowi wszystkie lasy przyodziały się lśniąca frędzlą z szronu - był to letni sen Zimy; wzeszło słońce i frędzla osypała się.

- Kiedyż nadejdzie Wiosna? - znów zapytały wróble.

- Wiosna! - rozległo się echem ze śnieżnego wzgórza.

I oto słońce zaczęło grzać coraz cieplej i cieplej, śnieg stopniał, ptaszki zaczęły щебетать: „Wiosna nadchodzi!”

Wysoko, wysoko pod niebem leciał pierwszy bocian, za nim drugi; na grzbiecie każdego siedziało po przepięknym dziecku. Dzieci stąpiły na pola, pocałowały ziemię, pocałowały też milczącego starca Zimę, a on, niczym Mojżesz z góry, zniknął w mgle!

Historia roku dobiegła końca.

- To wszystko piękne i zupełnie prawdziwe - zauważyły wróble - lecz nie według kalendarza, a zatem do niczego się nie nadaje!